

Spotkanie z teatrem

GŁOWA PEKA OD ZŁAMANYCH SERC

Moje wizyty w legnickim teatrze nie należą raczej do udanych. Może dlatego, że jest to teatr dla... nikogo! Na wiyat majestatu wojewódzkości. Największym osiągnięciem tej sceny były realizacje, w których gdzieś w oddali i skromniutko przebijała nieśmiała myśl reżysera, a aktorzy grali na tyle przyzwoicie, że widz rozumiał co autor napisał.

Po wyjściu z ostatniej premii jak zwykle kłamię się w duchu, na dworze lało jak cholera, a ja sobie urządziłem wycieczkę do domu złamanych serc. Wynika to chyba z mojego optymizmu, a raczej naiwności. Przypuszczam, że dyrektor, jak i cały zespół aktorski oraz grupka reżyserów realizujących na tej scenie swoje wizje, kochają teatr miłością wielką, szkoda tylko, że bez wzajemności... Tym razem jechałem jak na psychodramę, bowiem tytuł sztuki brzmiał: „Dom złamanych serc”. Myślałem sobie, że sztuka pana G. B. Shawa ich otworzy, odblokuje, coś się odwróci...

Niestety, i tym razem trzeba byłoby dużej dozy życzliwości i wyrozumiałości, aby uznać to, co zademonstrował zespół legnicki, za poprawne i do przyjęcia. Trudno, naprawdę trudno, wysiedzieć na widowni i patrzeć na lunatyków błędzących w sztucznie preparowanej mgie. Kogo właściwie obchodzą losy córek kapitana Shotovera i ich przyjaciele czy znajomych? Dziś chcielibyśmy, aby artyści mówili do nas innym głosem i o innych problemach. Jeśli są artysta-

mi i mają coś do powiedzenia. Właśnie...

Ale przyjrzyjmy się temu, co oglądaliśmy od strony wykonawców. Poza Januszem Sykuterą, Tadeuszem Kamberskim, Zbysławem Jankowiakiem i Danutą Kołaczek, którym udało się jako tako, w mniejszym lub większym stopniu, uprawdopodobnić grane przez siebie postaci, reszta raczej zatrzymała się na poziomie amatorskim, w tym złym tego słowa rozumieniu. Zdecydowały o tym kardynalne błędy warsztatowe, łącznie z dykcyjnymi wpadkami. O interpretacji szkoda w ogóle pisać, gdyż niewiele osób rozumiało do końca znaczenie artykułowanych wyrazów. Co z punktu widzenia profesjonalnego, moim zdaniem, zdecydowanie dyskwalifikuje wszelkie starania. Trudno więc mówić, na przykład o jednorodności i wszelkich innych niuansach mogących stanowić o stylu, klimacie, ogólnym wyrazie.

Elżbieta Miłowska jako Lady Utterword jeszcze raz przekonała mnie, że potrafi powtarzać jedynie kilka sztucznych (ciągle tych samych) pów i w żaden sposób nie umie znaleźć kontaktu z partnerami. To co proponowała Renata Kuklicka (Hesjona Hushabye) może wywołać jedynie ból zębów. Podstawowe braki dykcyjne zdecydowanie zacierają wszystko co stara się mówić. Jako czytelny środek wyrazu pozostał w tej roli tylko śmiech, a właściwie rechot, trudno jednak w każdej sytuacji wyłumaczyć sobie, co aktorka (!) chciała nim wyrazić.

Jadwiga Kukulska jako niania Guinness zbudowała całą postać na szarzy „żeby było śmiesznie”. Śmiesznie nie było, ale raczej żenująco i smutno, bo ciężko jest się pogodzić z tym, że oglądamy tę propozycję w zawodowym, było nie było, teatrze. Tadeusz Kruszyński (Hektor Hushabye) powinien zatrudnić się w charakterze usypiacza, jest jednym ze specjalistów mówienia wszystkich słów z idealnie tą samą intonacją. To naprawdę duża sztuka. O reszcie wykonawców również nic dobrego nie mogę napisać.

Sztuka Shawa, która dawno straciła swoją siłę i mowy nie ma, by kogoś dziś bulwersowała czy inspirowała do myślenia, została staraniem aktorów zupełnie wyprana z możliwości jakiegokolwiek uogólnienia. Reżyser Irena Górska-Damięcka chciała, byśmy wyszli z teatru z przesłaniem, że brak celów w życiu prowadzi do destrukcji nie tylko człowieka, ale i społeczeństwa. Chciała też, byśmy pobawili się zrecznymi dialogami i pointami autora obdarzonego wyjątkowymi w tym kierunku umiejętnościami. Wszyscy chyba mieli dobre chęci, tylko że udaremnia je deficyt umiejętności...

KRZYSZTOF KUCHARSKI

Teatr Dramatyczny w Legnicy — „Dom złamanych serc”, George Bernard Shaw. Reżyseria — Irena Górska-Damięcka, scenografia — Stanisław Bąkowski. Premiera — październik 1980.